

Film mnie lubi

Łukasz Kaczyński: - Jakie emocje pojawiają się u dyplomanta na progu festiwalu, będącego zarówno miejscem prezentacji talentu i umiejętności, jak i symbolicznym zerwaniem z murami uczelni?

Magdalena Wieczorek: - Festiwal zawsze wiąże się z pewnymi oczekiwaniami i myślę, że ma je każda osoba na moim roku. Nadzieja, że po prezentacji dyplomu pojawią się propozycje od reżyserów czy dyrektorów teatrów jest naturalna. Każdy przecież chciałby pracować, najlepiej w wyuczonym zawodzie i czując, że realizuje się twórczo. Do FST podchodzi się z nadzieją, że on coś przyniesie, ale też jak do momentu próby, który zdecyduje o tym, kto będzie dalej w zawodzie, a kto nie. Co jest dość gorzkie, bo to, że młody aktor zostanie dostrzeżony, zależy od tylu czynników, które są poza nami, że trudno uznać te dni za czas autentycznej weryfikacji tego, czego się nauczyliśmy. Chcemy pokazać się z jak najlepszej strony, ale nie wiadomo, jak pójdzie spektakl oceniany przez jurorów. Z nadzieją łączy się oczywiście także stres. A niezależnie od tego - to wielka wartość dla Łodzi, że takie wydarzenie odbywa się właśnie tutaj.

Pedagodzy przygotowywali was do pokonywania stresu - tego przedfestiwalowego, ale i tego będącego częścią dalszych zawodowych starań?

- Stres, o którym mówiłam, przede wszystkim jednak mobilizuje, a nie paraliżuje. Daje nam kopa do jeszcze lepszej gry na scenie. Czy w szkole byliśmy przygotowywani do radzenia sobie ze stresem? Powiedziałabym, że przez wszystkie lata raczej uczono nas, jak się stresować - nie omawiano metod radzenia sobie z napięciem. A czy czuję się przygotowana do tego zawodu? Myślę, że nigdy nie jest się do niego dostatecznie, w pełni przygotowanym. Tak samo jak wydaje mi się, że nigdy nie ma dostatecznie dobrego momentu, żeby wyjść na scenę - ale trzeba to zrobić. Przesiadywanie w garderobie i „nastrajanie się”, by ową gotowość uzyskać - moim zdaniem - nic nie daje. Nie da się za każdym razem osiągnąć tego samego skupienia, tak jak nie da się dwa razy zagrać tak samo. A jeżeli człowiek jest do tego zawodu gotowy, jeżeli uzyskuje tę powtarzalność, to chyba już nie ma po co tego robić, prawda?

Czyli aktorstwo jest dla pani rodzajem procesu samodoskonalenia, który nie ma finału? Skąd takie o nim przekonanie?

- Uważam, że aktorstwo, każda rola jest żywą materią. Procesem, który trwa tak długo, jak długo dane nam jest tę rolę grać w teatrze czy serialu. Człowiek nieustannie się rozwija i wydaje mi się, że ten rozwój ma ogromny wpływ na to, jak dana rola wygląda po latach. Ja sama, gdy przyglądam się temu, co i jak kiedyś zagrałam, nie mogę się nadziwić, bo czuję, że teraz zrobiłabym to inaczej. Czy lepiej? Nie wiadomo, ale na pewno inaczej. Życie nas kształtuje, nawet codziennie wydarzenia, spotkania zostawiają ślad, więc naturalne jest, że odbija się to na tym zawodzie, który polega przede wszystkim na pracowaniu naszą wrażliwością.

Lata w Szkole Filmowej to był okres, w którym mimo wszystko czuła się pani bezpiecznie jako przyszła aktorka, czy taki, który doprowadził do spiętrzenia pytań i wątpliwości?

- Uczelnia daje, w moim odczuciu, złudne poczucie bezpieczeństwa. Być może to efekt stresu związanego z codziennymi zajęciami, ale nie do końca było to bezpieczne miejsce. Siatka godzin była napięta, a chciałbym mieć więcej czasu, by samodzielnie poznawać kino i teatr. Mam wrażenie, że wszystko działo się pod presją ze strony pedagogów, czy nawet kolegów. To winduje oczekiwania

wobec siebie, a FST jest ich apogeum. Teraz pozostały właściwie tylko zajęcia z panem Łukaszem Maciejewskim, który zawsze zapraszał do nas ciekawych gości z „branży”.

Kuba Kowalski, który reżyserował pani spektakl dyplomowy „Przebudzenie wiosny” Franka Wedekinda, przyszedł z przygotowaną koncepcją języka scenicznego, czy włączył was w proces twórczy?

- Nie miał gotowego zamysłu realizacji tego nieco już archaicznego tekstu. Tworzyliśmy ten spektakl razem z nim. Dopiero podczas prób - z naszych pomysłów i propozycji - powstawały kolejne sceny. Praca z Kubą przyniosła mi dużo wolności, pola do próbowania kolejnych rozwiązań, w ogóle nie wiązała się z napięciem. Po raz pierwszy od dawna. To było jak praca z kolegą. On też nie tworzył dystansu między nami. To ważne, bo jako rocznik przeżyliśmy kapitalną integrację, ale gdzieś po drugim roku także swoistą dezintegrację, a dzięki pracy nad dyplomami udało się nam się ponownie poskładać.

Wasz rocznik też dostał szansę zrealizowania dyplomowego filmu w reżyserii Jagody Szelc - jednego z najgłośniejszych nazwisk ostatniego roku w polskim kinie. To silna osobowość - jak się pani z nią pracowało?

- Niesamowicie. Jagoda to dopiero dała nam wolność! Przede wszystkim bardzo dużo próbowaliśmy, co jest ważne przy tego rodzaju projektach - wtedy na plan wchodzi się gotowym, nie ma dźbania scena po scenie, jest tylko robota. To był ostatni raz, gdy wszyscy byliśmy razem i razem pracowaliśmy. Mówię tu o naszym roku. To trochę takie nasze pożegnanie i pamiątka tych intensywnych czterech lat w szkole, gdy byliśmy skazani tylko na siebie. I na szczęście. Inaczej niż w przypadku poprzednich dyplomów filmowych nie jest to montaż scen, ale jedna duża historia, moim zdaniem poruszająca. Nie wiem, jak Jagoda to zrobiła, bo chyba niemożliwe jest napisać tak dobry scenariusz dla dwudziestu osób, by każdy miał szansę mocno zaistnieć na ekranie.

Pani miała już pewne doświadczenie filmowe - mówię o roli Ewy w thrillerze „Czuwaj” Roberta Glińskiego z 2017 roku. Zagrała pani obok Zbigniewa Zamachowskiego, Andrzeja Mastalerza i zeszlórocznego dyplomanta Szkoły Filmowej Macieja Musiałowskiego, zaś główną rolę męską, chłopaka Ewy, zagrał kolega z roku Mateusz Więclawek.

- Nie wiem, czy da się porównać pracę z panem Robertem Glińskim do pracy z Jagodą Szelc, ponieważ są to dwa różne spojrzenia, dwa różne gatunki kina, dwie kompletnie inne osoby, ale na pewno wspólnym elementem była atmosfera na planie, którą stworzyli. Przy pracy nad filmem „Czuwaj” i przy „Monumencie” zapewniono mi, i myślę, że wszystkim aktorom, ogromne poczucie bezpieczeństwa. Było to dla mnie bardzo ważne, zwłaszcza że „Czuwaj” był moim debiutem i nie wiedziałam wtedy za bardzo, jak wygląda plan filmowy. Myślę, że każdemu aktorowi na początku drogi potrzebna jest osoba, która się nim „zaopiekuje”, a nie zniechęci do wykonywania tego zawodu. Dzięki temu, że atmosfera przy „Czuwaj” była bezstresowa, bardzo dobrze wspominam tamten czas, nawet granie odważnych, trudnych scen. Film w czerwcu wchodzi do kin, więc zapraszam.

Na tym etapie priorytetem jest dla pani etatowa praca w teatrze, czy możliwość próbowania na wielu polach bez „reżimu” etatu?

- Chciałabym pracować w teatrze, ale moje doświadczenia na razie pokazują, że film mnie lubi, a teatr jeszcze nie. Poczekam. Wychodzę z założenia, że trzeba liczyć na siebie, nie na etat, bo można go nie dostać. Teatry niechętnie oferują etaty młodym aktorom, niewykluczone, że kiedyś w ogóle nastąpi odejście od tego modelu. Jest wiele form zatrudnienia i pracy w teatrze - trzeba być na to

otwartym. W szkole wpaja się nam, że etat w teatrze powinien być szczytem naszych marzeń. Miałam wrażenie, że opiekun naszego roku Ireneusz Czop byłby szczęśliwy, gdybyśmy wszyscy znaleźli pracę w teatrze. Ale czy dziś etat nie jest potrzebny tylko do tego, by wziąć kredyt? Nie wiem, czy potrafiłabym tak mocno zakotwiczyć się w jednym teatrze. Choć nie wykluczam, że tak, to nie zafiksowuję się na tym. Ludzie są zdrowsi, jeśli oprócz aktorstwa mają coś jeszcze, inne źródło dochodów - żeby aktorstwo nadal było pasją, a nie obowiązkiem.

* * *

Rozmowa pochodzi z "Kalejdoskopu" nr 6 / 2018